

GABRIEL GLINKA

BANDYTA

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2015

Opieka redakcyjna: Anna Pasieka-Blycharz
Redakcja: Zofia Palowska, Aleksandra Marczuk
Korekta: Dariusz Godoś
Projekt okładki: Magdalena Kuc
Łamanie: Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-277-0121-3

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: Grafarti, Łódź

Mojej Córce, Rodzicom i Bratu

„Szaweł natomiast wciąż pałał nienawiścią i chęcią mordowania uczniów Pana. Poszedł więc do najwyższego kapłana i poprosił o listy polecające do synagog w Damaszku. Chciał bowiem odszukać zwolenników tej drogi, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, aby ich pojmać i przyprowadzić do Jeruzalem. Był właśnie w podróży i zbliżał się już do Damaszku, gdy nagle poraziło go światło z nieba. Upadł na ziemię i usłyszał słowa: «Szawle, Szawle! Dlaczego mnie prześladujesz?». A on zapytał: «Kim jesteś, Panie?». I usłyszał: «Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i idź do miasta. Tam się dowiesz, co masz czynić». A ludzie, którzy z nim podróżowali, oniemieli ze zdumienia, gdyż usłyszeli głos, lecz nikogo nie widzieli. Szaweł podniósł się z ziemi. Otworzył oczy, ale nic nie widział. Trzymając go za ręce, doprowadzili go do Damaszku. Tam przez trzy dni nic nie widział. Nie jadł też ani nie pił.

Przebywał zaś w Damaszku pewien uczeń [Chrystusa] o imieniu Ananiasz. Pan powiedział do niego w widzeniu: «Ananiaszu!». A on odpowiedział: «Słucham, Panie!». Pan mu rozkazał: «Idź natychmiast na ulicę Prostą i odszukaj w domu Judy Szawła z Tarsu. On modli się w tej chwili». A Szaweł miał widzenie. Ujrzał Ananiasza, który wchodzi do domu i kładzie na nim ręce, aby odzyskał wzrok. Wówczas Ananiasz odrzekł: «Słyszałem od wielu ludzi, ile zła wyrządził ten człowiek Twoim świętym w Jeruzalem. Otrzymał on od wyższych kapłanów pełnomocnictwo, aby także tutaj więzić tych, którzy wyznają Twoje imię». Lecz Pan mu odpowiedział: «Idź! Wybrałem go sobie za narzędzie. On zanieś moje imię do pogan i królów, i narodu izraelskiego. Objawię mu także, jak wiele będzie musiał wycierpieć z powodu mego imienia»” (Dz 9, 1-16).

Patrz, otwórz szeroko oczy, by nic Ci nie umknęło.
We fragmenty życia wpisany jest cud stworzenia.
W prostych obrazach, bez słów...

1

Leżę twarzą do ziemi, w środku miasta. Wokół mnie samochody, wstrzymane w ruchu błyskiem kogutów i wyciem syren. Asfalt jezdni, w który wciska mnie kolano psa, parzy dotykami przegranej. W głowie telepie mi się jedna myśl: „To koniec, dopadli mnie...”, potwierdzona uciskiem kajdanek na przegubach rąk, skuwanych za plecami. Obmacują mnie czyjeś ręce, dokładnie przeszukując. Zabierają wszystko, co mam przy sobie. Nie próbuję stawiać oporu, mając lufę przed oczami. Po chwili mocne szarpnięcie stawia mnie na nogi. Potem czyjaś ręka zakłada bolesną dźwignię zginającą mnie ku ziemi. Krótki marsz i wciskają mnie na tylne siedzenie cywilnego radiowozu. Akcja jest błyskawiczna, przygotowana i wykonana perfekcyjnie. Wszystko odbyło się w ciągu niespełna półtorej minuty. Jadę ściśnięty między dwoma łapsami w kominiarkach. Uspokajam rozbiegane myśli, przywołując na pomoc swój lodowaty spokój w akcji, pozwalający działać z precyzją automatu i błyskawicznie podejmować właściwe decyzje w toczącej się walce. Będzie mi teraz potrzebny. Byłem poszukiwany od kilku miesięcy. Ukrywałem się, przygotowując ucieczkę z kraju. Jak zawsze wtedy, gdy gotowało mi się przy dupie. Wytropili mnie jednak i dopadli. Zaraz się dowiem, jak i co wygrzebali. Krótka podróż przebiega w milczeniu i kończy się na policyjnym parkingu. Wyciągają mnie z auta. Znowu ból dźwigni i po paru chwilach ląduję na krześle naprzeciw starego znajomego.

Siedzi po przeciwnej stronie rozdzielającego nas biurka. „Kominarze” stają koło mnie, nieco z tyłu. Tamten podnosi głowę i uśmiecha się lekko.

– Sie masz, Mruk. – Słowa powitania zalatują zjadliwą kpiną. – Długo kazałeś na siebie czekać. Niecierpliwiliśmy się trochę i martwiliśmy o ciebie – kpi dalej. – Czy, nie daj Boże, nie stało ci się nic złego. – Teraz złośliwie, z udawaną troską w głosie.

Nie odpowiadam. To jego zwycięstwo, niech się nim nacieszy. Patrzymy na siebie w ciszy. Dwóch profesjonalistów: zły i dobry. Odwieczna walka dobra ze złem. Wygrał lepszy – ten dobry. Zły milczy. Ciszą okazuje szacunek przeciwnikowi, który go pokonał. Nieudawany. Zabawa w policjantów i złodziei. Każdy robił swoje, najlepiej jak potrafił. Ten etap wygrał on. Koniec – po co się szarpać, marnować energię. Zaraz zacznie się dalsza część gry – ważniejsza niż ta minioną, przegrana. Jej wynik zdecyduje o moim losie. Skupiam się w sobie i wciąż milczę.

– No dobra – mówi. – Najpierw procedura. Imię i nazwisko – rzuca.

– Daj spokój – odpowiadam spokojnie. – Przepisz sobie z kwitów.

– Nic się nie zmienia, co? – stwierdza z rezygnacją. – Pochyliła się nad papierami i przepisuje moje dane z dowodu.

Nie odpowiadam. Gdy skończył, rozparł się na krześle w pozycji pana sytuacji. Czekam w napięciu. Chwilę przyglądał mi się z satysfakcją, po czym rzucił pytanie, na które cierpliwie czekałem, które wyjaśni moją sytuację chociaż w zarysie.

– Wiesz, dlaczego zostałeś zatrzymany?

Nie reaguję od razu. Znam przyczynę poszukiwań. Ale czy to jedyny ich powód? Nie wiem. Wiem za to jedno: wiele mam na sumieniu. Coś mogło im wyleźć. Niech on odkryje karty.

– Ty mi to powiesz. – Wciąż jestem opanowany. – Więc mów, co na mnie macie, albo mnie rozkuj i wypuść – kontynuuję beczelnie.

Wzrok mu spochmurniał. Ze złością zaczął grzebać w papierach przed sobą. Po chwili znalazł.

– Jesteś zatrzymany w celu odbycia kary pozbawienia wolności. – Głos mu przygaś, za to ja się teraz uśmiecham.

To była przyczyna poszukiwań, o której wiedziałem. Wyrok niewielki, jak zwykle. Do udźwignięcia, ale sytuacja jest ciężka. To nie jedyny, który na mnie ciąży. Może być jednak kamieniem, który pociągnie za sobą lawinę. Wcale nie mała – i nie będzie mi wtedy do śmiechu. Wciąż nie mam pewności.

– To po to ten cały rejwach w środku miasta? – pytam podstępnie. – Nie można było łagodniej, bardziej cywilizowanie? – Tkam dalej swoją sieć.

Przygląda mi się przez moment.

– Skończ pierdolić! – Rwie ją w strzępy na samym początku.

Za dobry jest na takie chwytły. Stracił jednak spokój – punkt dla mnie. Milczę i czekam. To on musi mówić, nie ja.

– Pójdiesz sobie teraz odpocząć, a my popracujemy trochę nad tobą – rzuca z groźbą w głosie.

„Życzę powodzenia” – odpowiadam w myślach.

– Mamy dużo czasu, nigdzie nam się nie spieszy – jakby mówił do ściany.

Nie odzywam się. Niby obojętny, słucham z uwagą.

– I będziemy szukać daleko – kontynuuje psim warkotem. – Ostatnio jakbyś obniżył loty – stwierdza złośliwie. – Zestarałaś się czy co? – Jego uszczypliwość narasta.

Zachowuję kamienną twarz, ale w środku gotuje mi się wszystko. Trafił mnie skurwiel, choć o tym nie wie. Ostatnie lata to jedno pasmo klęsk. Jakby kończyła się moja elektryka. Piłem coraz więcej i ekstremalniej. Czasem po wódzie dostawałem takiej korby, że to prawdziwy cud, że jeszcze żyję. I nie mniejszy, że nikt nie zginął. Paru jednak wylądowało w szpitalu. Ich milczenie sporo mnie kosztowało. Próbowałem się jakoś

ratować. Dwie wszywki. Myślałem, że frytka w dupę załatwi sprawę. Raz załatwiła, przed laty. Tym razem nic nie dała. Było coraz gorzej. To wszystko miało przełożenie na interesy, które padały jeden po drugim. Traciłem wiarygodność. Ludzie bali się ze mną pracować, bo stałem się nieprzewidywalny. Mogłem sprowadzić zagrożenie na wszystkich. Zdarzało mi się pić w trakcie jakiegoś numeru. Łamałem własną zasadę zamka. Staczałem się w zastraszającym tempie. Traciłem szacunek, a tym samym możliwości wysokich dochodów. Kto wejdzie w układ z oliwą, któremu w każdej chwili może odbić szajba i narobi takiego wiatru, że zmiecie wszystkich? Raz o mało do tego nie doszło. Wracaliśmy w kilku z nocnych baletów. Środek miasta, puste ulice... Na dwa auta, wszyscy na żelazie, uzbrojeni. Nawalony jak stodoła siedziałem obok kierowcy. Taki świeżak, dlatego trzeźwy. Pili starsi, on robił za szofera. W pewnym momencie, nim ktokolwiek zdołał zareagować, dobyłem kopyta i z dzikim wrzaskiem wywaliłem cały magazyn w kierunku mijanych latarni. Dzieciak obok mnie tak się wystraszył, że wjechał w przystanek tramwajowy i zaparkował na wiacie. Cudem udało nam się stamtąd zwinąć i zbiec bez konsekwencji. Znam to z opowieści, bo byłem już bez filmu. Na drugi dzień obudziło mnie walenie do drzwi. Jeszcze nadymiony, upewniwszy się kto to, wpuściłem gości do domu. Weszli w towarzystwie jakiejś pary. Nieco zdziwiony ich obecnością, zapytałem o powód wizyty o tak wczesnej porze. Piłka była krótka. Byli wściekli i wystraszeni.

– Żarty się skończyły! – usłyszałem. – Tobie nie wolno pić, wariacie! W końcu położysz nas wszystkich. Więc albo fryta w dupę, albo się pierdol! – Nie zostawili mi wyboru.

Ogarnęła mnie wściekłość.

– Pojebało was czy co?! – Złość we mnie narastała.

– Nie nas, ciebie! – usłyszałem w odpowiedzi. – Wiesz, co żeś wczoraj nawyprawiał, szajbusie?!

– Co takiego?! – warknąłem z niepokojem.

Nie pamiętałem wszystkiego. Powiedzieli mi. Nie mogłem uwierzyć.

– Jedź do młodego na jamę i obejrzyj sobie samochód. Płacisz zresztą za jego remont.

– O kurwa! – Zgrzytnąłem zębami. – Muszę coś przyjąć – rzuciłem, ruszając w stronę barku z alkoholami. Moja spizarnia była zawsze doskonale zaopatrzona. – Jebie mnie tak, że nie mogę myśleć – dodałem wyjaśniająco.

Zagrodzili mi drogę.

– Zdązysz – usłyszałem. – Więc jak? – przyparli mnie do ściany. – Zostajesz i chłasz czy idziesz z nami?

Przyjrzałem się z uwagą ich groźnym twarzom. Naprawdę nie żartowali. Popatrzyłem z tęsknotą na kolorowe butelki: ratunek był tak blisko...

– Idę z wami – zgodziłem się z rezygnacją.

– Doktorze, prosimy!

Teraz już wiedziałem, kogo ze sobą przywlekli i po co. Kobieta to pielęgniarka. Konował wyjaśnił mi zasady działania esperalu. Żartów nie ma – spożycie alkoholu może skończyć się piachem. Podpisuję oświadczenie, dobrowolnie zgadzając się na zabieg. „Zabezpieczają się, skurwiele!” – syczałem wściekle w myślach. Pytają mnie, na jak długo chcę się zaplombować.

– A na ile można? – Jestem coraz bardziej wściekły.

– Na rok, dwa, trzy – usłyszałem.

– No to na trzy! – rzucają ze śmiechem kolesie.

– Mowy nie ma! – warczę coraz bardziej rozjuszony. – Na rok! – rzucam groźnie medykowi. – Jak coś przykombinujesz, to cię znajdę, napcham tymi prochami i napoję litrem. Sam na sobie będziesz mógł sprawdzić skuteczność ich działania. Zrozumiałeś?! – Patrzę mu prosto w oczy.

W jego wzroku pojawiło się przerażenie. Pewnie żałuje, że tu przyszedł. Pigułą też trzęsie strach. Kładę się posłusznie na

łóżku. Lekkie ukłucie igły i po paru minutach nie czuję własnego tyłka. W zasadzie czuję, tylko jakby nie należał już do mnie. Grzebie w nim ten pieprzony rzeźnik. Przyszło mi do głowy, by po wszystkim zmusić go, żeby mnie w niego pocałował. W sam środek. Taki jestem rozjuszony. Zabieg trwał kilkanaście minut i musiałem za niego jeszcze sam zapłacić. Pięćset baksa – suma spotęgowała moją furię.

– Od dziś za rok pójdę do baru! – Zionąłem w pobladłą twarz medyka. – Jak mi coś zaszkodzi, to cię znajdę, pajacu!

Zielony ze strachu, kiwnął posłusznie głową, w pośpiechu pakując instrumenty do lekarskiej torby. Piguła, blada jak ściana, przy której stoi, czeka, aż tamten skończy. Po chwili pospiesznie wychodzą. Ze strachu zapomnieli powiedzieć „do widzenia”. I dobrze, bo nie chcę ich więcej widzieć. Tym bardziej że po upływie dwunastu miesięcy dowiedziałem się, że zaaplikowali mi placebo. Witaminki, kurwa mać! Miałem nawet ochotę poszukać ich i odzyskać wydaną kasę z należnymi odsetkami. Odpuściłem tylko dlatego, że zwróciła się wielokrotnie. Nie miałem wątpliwości, że dzięki mojej abstynencji.

Substytutem alkoholu stał się seks. Pić nie mogłem, więc pieprzyłem się jak królik, przy pomocy kompulsywnego seksu upuszczając sobie ciśnienia. Gdy już mogłem, wróciłem do chłania. Równia pochyła. Doprowadziła do krzesła, na którym teraz siedzę. Za chwilę poprowadzi dalej – za więzienne kraty. Być może na długo. Mój strach się potęguje. Tym bardziej że tamten głądzi dalej.

– Wychodzą nam sprawy sprzed wielu lat – kontynuuje niezrażony moim milczeniem. – Sprzed dziesięciu i więcej. Przejijasz się w nich. W końcu coś znajdziemy i będziesz mógł długo wspominać, jak to było miło kiedyś hasać. – Uśmiecha się złośliwie. – Obiecałem ci, że cię w końcu dopadnę i wsadzę na długo. Pamiętasz?

Pamiętam. Był upokorzony i wściekły, gdy wychodziłem z prokuratury wolny, a on mógł tylko bezsilnie na to patrzeć. Przechodząc, rzuciłem mu pogardliwie w twarz:

– Za cienki jesteś na mnie.

Zatrzęsło nim. Już tylko w kierunku moich pleców cisnął tę obietnicę. Skwitowałem ją wyprostowanym środkowym palcem.

– Kurwa, po co my ich łapiemy, skoro ci ich wypuszczają? – Dosłyszałem jeszcze, jak zawarczał. Zostawiłem go za drzwiami z jego gniewem. Wywinąłem mu się wtedy. Wreszcie się doczekał i przygląda mi się teraz z prawdziwą satysfakcją. Nie reaguję i wciąż milczę. Tylko ja wiem, ile mnie to kosztuje. Chwilę jeszcze czeka, wreszcie rezygnuje.

– No dobra, podpisz kwity – mówi już łagodniej. Podpisuję. Zbiera je do kupy, jeden podaje łapsom i zwraca się do mnie z pożegnaniem: – Koledzy odstawią cię na miejsce. Myślę, że za jakiś czas wpadnę na pogawędkę. Obiecuję, że będzie o czym rozmawiać – dorzucił znowu ze złośliwym uśmiechem.

Gdyby wiedział, co te słowa zrobiły z moim środkiem, pewnie odprowadziłyby mnie osobiście pod celę, nieustannie je powtarzając. Milczę zawzięcie z kamiennym obliczem.

Po niespełna trzech godzinach wyładowałem w więziennej klatce – trzyosobowej, jako trzeci. Obwąchaliśmy się czujnie. Po rozpoznaniu napięcie zniknęło. Wspólna kawa, wspólni znajomi. Normalny rytuał, jak zawsze. Potem pod derę i wreszcie zostałem sam na sam ze sobą. Zacząłem od początku. „Jakim cudem mnie dopadli?” – zrozumienie porażki pozwoli uniknąć podobnego błędu w przyszłości. Byłem pewny, że skutecznie myliłem tropy. Szczegółowa analiza zdarzeń dała natychmiastową odpowiedź na nurtujące pytanie. „Wystawił mnie, skurwysyn!” – pomyślałem o człowieku, z którym miałem się spotkać w interesach tuż przed zatrzymaniem. Czekałem pięć minut zgodnie ze swoją zasadą. Potem odjechałem. Były godzi-

ny szczytu, miasto zapchane. Musieli ciągnąć się za mną co najmniej na dwa wozy. Inaczej bym ich wypatrzył. Cały czas czujnie omiatałem w lusterkach przestrzeń za sobą. Przejechaliśmy prawie pół miasta, nim ruszyli do akcji. Wiem dlaczego. Chcą chronić kapusia, który mnie sprzedał. Nic z tego – za stary lis ze mnie. Poprzysięgam mu w duszy zemstę. Jeśli się doczekam. Bo tamten sprzeda też innych, jeśli już raz zaczął. Więc ktoś może mnie uprzedzić. Nieważne. Będę ją w sobie pielęgnował. Jadę dalej. Sytuacja nie wygląda dobrze. Zgodnie z zasadą pozostałe ciężące na mnie wyroki zaczną się sypać hurtowo. Kiedy już cię dopadną, jadą po całości. Regulują wszystkie rachunki. Liczę w myślach... O kurwa! Prawie dziewięć lat! „Już po mnie” – jęczę przerażony. Tym bardziej że to jeszcze nie wszystko. Tamten zawzięty buldog nie odpuści. Jeśli czegoś się dokopie, to koniec! Pobieżny rachunek sumienia napęłnia mnie przerażeniem. Załatwili mnie na amen! Moje życie się skończyło! Nie wyrwę się za nic! Gdy bilans zostanie ostatecznie zamknięty, mogę spróbować połączyć wszystkie wyroki w jeden. Tak zwany wyrok łączny. Zawsze coś urywa. Ile jednak mogę na tym skorzystać? Rok, dwa?... Przy wielkim szczęściu może trzy. Resztę trzeba będzie odsiedzieć. Najpewniej w całości... Tym razem nie uniknę recydywy. Policzyłem wszystko w myślach, plus minus dwa lata: cyfra mnie przerażyła. Wpadłem w panikę, która natychmiast przerodziła się w agresję. Zrodziło się pragnienie szaleńczej walki na śmierć i życie, by wreszcie dopędzić kostuchę i nie męczyć się dłużej. Żeby to wszystko już się skończyło. Ale nie chcę ginąć sam. Paru wrogów chętnie zabrałbym ze sobą. Mam ich kilku, właśnie za kratami. Najprawdopodobniej w końcu się spotkamy. „Zatańczymy, kurwa wasza mać!”. Zapieklełem się w tej nienawiści, pragnieniu zemsty, wyczekiwaniu śmierci. Najgorszy jest brak decyzji. Od-biera spokój i wprowadza chaos w działaniu. Właśnie podjąłem nieodwołalną, która zostanie wprowadzona w życie, jeśli moje

przypuszczenia okażą się słuszne. To przywróciło mi spokój. Cierpliwie poczekam na rozwój wydarzeń. Nigdzie mi się już nie spieszy. Teraz najważniejszą rzeczą jest zadbać o jak największy komfort odsiadki. Zadbać o siebie. Wiem, jak to osiągnąć – lata doświadczeń...

Poukładany, zasypiałem ciężkim snem. Myślę, że podjęta decyzja, choć przywróciła spokój i siły, przytłaczała swoim ciężarem. Ciężko jest dźwigać nienawiść do siebie i innych oraz świadomość zbliżającej się śmierci. Bo mimo tego że upragniona od lat, napawała mnie jednak strachem. Wypełniony nim, w końcu zasnąłem.

2

Trudne początki parkowania w pudle. Dni ciągną się monotonnie i ciężko, w napiętym oczekiwaniu na spodziewaną „dolewę”. To w więziennej kminie powiadomienie o decyzji wprowadzenia i wykonania ciężących na tobie wyroków. Tak samo nazywamy gada, który przynosi te wieści. Czas toczy się jednostajnym rytmem rozkładu dnia. Nudnym aż do rzygania. Jestem jakby w apatii. Znam ten stan. Trwa u mnie około dwóch tygodni od momentu zamknięcia. Brutalnie wyrwany z codziennej rzeczywistości, potrzebuję trochę czasu, by pogodzić się z brakiem możliwości decydowania o samym sobie. Wszystko mnie tu ogranicza. Nie mam wpływu na swoje życie. Toczy się według zasad nie ustalonych przeze mnie. Nie ja decyduję, kiedy będę tu jadł, spał, brał prysznic... Kiedy wyjdę choćby na chwilę z klatki, w której mnie zamknięto. Nie do mnie należy decyzja, kiedy i czy w ogóle z niej wyjdę... Mnie osobiście najbardziej dolega brak klamki w drzwiach. Ich gładka powierzchnia, którą mam wciąż przed oczami, ukazuje mi

beznadziejność sytuacji, w której się znalazłem. Jestem absolutnie bezsilny wobec rzeczywistości. Bezsilny niemożnością jej zmiany. Nie jestem jednak bezsilny do końca. Mam wpływ na to, jak się w niej będę poruszał.

Moje przebranie funkcjonuje bez zarzutu. Nie wchodzę w żadne układy ani bliższe relacje. Zakreśliłem granice i nie pozwalam ich przekraczać. Gdy ktoś próbuje to zrobić, wydaję lekki pomruk. Wulkan, choć pozornie uspiiony, żyje. Zwykle wystarcza, by dał o tym znać. Przestrzegam więziennych zasad i regulaminu. Nie szarpie się z klawiszami. Z nikim – po co niepotrzebnie marnować energię? Źródło siły. Daje to wymierne korzyści. Po pierwsze, mam święty spokój. Swoją przestrzeń, do której wpuszczam, kogo chcę i kiedy chcę. Po drugie, ułatwia mi życie. Nikt tu nie lubi „skakańców”. Ani my, kajdaniarze, ani tym bardziej klawisze. Nie mają ze mną żadnych problemów. W zamian nie stwarzają ich również mnie. Ułatwiają mi życie, jak mogą, czasem nawet z lekka naginając przepisy. Pierwsza faza już za mną. Udamę słabszego, niż jestem.

Poza tym, o ile to możliwe w tych warunkach, dbam o sprawność fizyczną. Nic specjalnego. Pompki, brzuszki, przysiady i rozciąganie. Truchtanie na spacerunku i ograniczenie palenia pozwala zachować jaką taką kondycję. Pozostaje tylko czekać. Przyczajony, robię to – czekam... Po prostu czekam. W międzyczasie zobaczyłem się z ojcem i bratem. Musieli kogoś powiadomić o moim zapuszkowaniu. Podałem rodzinę, bo musiałem kogoś podać. Niespodziewanie mnie odwiedzili. Osobno. Najpierw ojciec. Był na kacu. Niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia. Bo co w tej sytuacji można sobie powiedzieć? Byłem mu wdzięczny za próby pocieszenia i deklaracje pomocy finansowej. Nie cofnął jej, gdy szczerze przedstawiłem mu sytuację. Myślę, że nie do końca w nią uwierzył. To samo z bratem. Zachował się OK. Nie pocieszał, tylko okazywał współczucie. Ma większe rozeznanie niż nasz staruszek. Wie,

w co wdepnąłem, i boi się o mnie. Wzruszyłem się, gdy to wyczułem, lecz nie dałem po sobie nic poznać. Mój młodszy brat-ciszek... Rozdzieliła nas jego żona, z którą nienawidzimy się jak wściekłe psy. Gardziłem nim kiedyś za to. Potem przestałem, gdy zrozumiałem, że jest zbyt słaby, by sobie z tym poradzić. Widywaliśmy się rzadko i zazwyczaj krótko. W większości przez przypadek. Nigdy mnie nie potępiał ani nie próbował nawracać. Żył swoim życiem, a ja swoim. Potem znowu zapadła cisza oczekiwania. Do dnia, w którym gad przy wydawaniu obiadu rzucił w moją stronę: „Pakuj mandzur, przerzutka! Idziesz na inną celę”. Nie zachwyca mnie to, ale nie protestuję. Oszczędzam energię. Po posiłku posłusznie się przenoszę. Ten sam rytuał co zawsze. Wzajemne obwąchiwanie i tym podobne. Spokój do wieczoru. Za to po apelu zobaczyłem coś, co najpierw wzbudziło we mnie zdumienie, potem śmiech, wreszcie złość. Jeden z osadzonych ze mną, nie zważając ani na nas, ani na hałas grającego telewizora, wyciągnął spod zagłówek jakieś książeczki. Siedząc na koju, oparty plecami o ścianę, czytał je przez dobrych kilkanaście minut. Nic specjalnego, więc nie zwróciłem na to zbytnej uwagi. Za to potem dosłownie zbaraniałem. Odłożył je na miejsce, wyciągnął z kieszeni różaniec, podobny do tego, jaki miała moja matka, i tak jak ona zaczął klepać zdrowaśki. Z zamkniętymi oczami, bezgłośnie poruszając ustami. Myślałem, że śnię, widok był tak nieprawdopodobny. Poruszyłem kojem. Po chwili ujrzałem nad sobą twarz trzeciego z nas, śpiącego nade mną.

– Co jest? – zapytał.

Bez słowa wskazałem głową na rozmodlonego pajaca. Zerknął w jego kierunku i wzruszył ramionami.

– On tak codziennie – usłyszałem. – Rano i wieczorem. Trochę pojebany z tym wszystkim, ale ogólnie w porządku – dodał. – Nie bierz do głowy. Mnie tam nie przeszkadza – stwierdził i ponownie rozciągnął się nade mną.

Przyglądałem się, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co miałem przed oczami. „Kurwa, kościół mi będzie robił z celi!” – zagotowało się we mnie. Poczulem dziką ochotę, by wyrwać mu z rąk ten przedmiot kultu i rozszarpać go na kawałki. Rozsmarować mu durny, rozmodlony łeb na ścianie i wypieprzyć go z celi. Długo walczyłem ze sobą, wpatrując się w niego drapieżnie. Właśnie skończył i podniósł powieki. Natychmiast spuściłem swoje, by ukryć zamierzenia. Słuchałem tylko. Położył się na łóżku i znowu gapił się w telewizor. Otworzyłem oczy. Ponownie stał się jednym z nas. Jakby to, co przed chwilą widziałem, nigdy się nie wydarzyło. Było jakimś przywidzeniem. Uspokajałem się wolno. „W zasadzie co mnie to, kurwa, obchodzi? – powiedziałem w końcu do siebie w milczeniu. – Niech sobie pajacuje. Byle nie pchał mi się z tym w oczy. Zresztą, ten z góry twierdzi, że poza tym jest OK. Uspokój się! Nie rób niepotrzebnego wiatru. To pierwszy dzień pod nową celą”. Wrócił mój luz. „Poprzyglądam mu się” – postanowiłem. Modlący się w celi facet to nieczęsty widok w pudle. Wprowadzający dysonans w codzienną rutynę i panujące tu zasady. Tym samym wzbudzający niepokój. Ten zaś jest groźny dla mojego wewnętrzznego rytmu. „Nie pozwolę go nikomu zakłócić. Olej go, rób swoje” – odwracam się twarzą do ściany. Zamykam oczy, próbując spać. Nie przeszkadza mi hałas grającego telewizora. Jest częścią codzienności. Jednak nie udaje mi się zasnąć. Mimo usilnych starań nie mogę się wyzbyć obrazu, który mnie wzburzył. Wciąż mam przed oczami jego twarz, kiedy odprawiał te swoje czary. Spokojną, jakby nieobecną. Miałem wrażenie, że w ogóle go tu z nami przez chwilę nie było. Jakby nie zauważał ciężaru uciskających nas więziennych ścian, pętających krat. Przez moment poczułem zazdrość. Zaraz potem złość. I tak na zmianę... Wzięły się za ręce i wirowały w jakimś szalonym tańcu w mojej głowie. A ja, całkowicie bezradny, odprawiałem swój balet, przewracając się na łóżku w pogoni za

snem, który przerwie te szalone płąsy. Udało się go dogonić dopiero nad ranem.

Spałem krótko, wstałem więc zły i zmęczony, jak to bywa po nieprzespanej nocy. Śniadanie i poranna kawa polepszyły mi z lekka nastrój. Potem dzień jak co dzień. Jednostajny, rytmiczny, uciskający ciśnieniem oczekiwania na złe wieści... Określą moją przyszłość, zdecydują o niej... Odsuwam te myśli, ale nie do końca się to udaje. Są jak robak, który czai się gdzieś w zakamarkach głowy, od czasu do czasu przypominający bolesnym ukąszeniem o swoim istnieniu. Nie mam wyboru. Muszę pogodzić się z jego obecnością, wdzięczny za rzadkie chwile, gdy nażarty bólem niepewności jutra zasypia gdzieś na sjeście, pozwalając na krótko o sobie zapomnieć. Czas płynie odmierzany kartkami zrywanymi z kalendarza wiszącego przy kłapie. Zgodnie z postanowieniem obserwuję tego typu od różańca. Rzeczywiście, dzień w dzień rano i wieczorem „odlatuje”. Nie wzbudza to już mojego gniewu. Każdy ma swoje wariactwa. Ja też. Czemu odmawiać prawa do nich innym? Tym bardziej że facet jest rzeczywiście OK. Ćwiczymy nawet razem. Sam to zaproponował, gdy zobaczył, jak wieczorem grzałem pompki. Nieufność między nami wprawdzie nie zniknęła, ale gdy z lekka zmaląła, odważyłem się go wreszcie spytać o to jego wariactwo. Nie chciałem tego robić w obecności innych. Zostało mi jeszcze dosyć przyzwoitości, by rozumieć, że wiara to bardzo osobista i niezwykle delikatna sprawa. Nie dawało mi to jednak spokoju.

Okazja się nadarzyła, gdy trzeci poszedł na widzenie. Zostaliśmy sami. Nie zwlekałem ani chwili.

– Młody, siorbniemy kawiurę? – spytałem, nastawiając elektryczny czajnik.

– Jasne, zawsze – odparł, odkładając książkę. Po chwili się dzieliśmy przy blacie, popijając czarną wodę.

Spis treści

Rozdział 1	<i>str.</i>	9
Rozdział 2	<i>str.</i>	17
Rozdział 3	<i>str.</i>	34
Rozdział 4	<i>str.</i>	49
Rozdział 5	<i>str.</i>	53
Rozdział 6	<i>str.</i>	80
Rozdział 7	<i>str.</i>	94
Rozdział 8	<i>str.</i>	122
Rozdział 9	<i>str.</i>	157
Rozdział 10	<i>str.</i>	181
Rozdział 11	<i>str.</i>	209
Rozdział 12	<i>str.</i>	232
Rozdział 13	<i>str.</i>	258
Rozdział 14	<i>str.</i>	272
Rozdział 15	<i>str.</i>	282
Rozdział 16	<i>str.</i>	286
Rozdział 17	<i>str.</i>	295
Rozdział 18	<i>str.</i>	308
Rozdział 19	<i>str.</i>	312
Rozdział 20	<i>str.</i>	318
Rozdział 21	<i>str.</i>	329
Rozdział 22	<i>str.</i>	341
Rozdział 23	<i>str.</i>	364